

Danuta SAWICKA-MISZEWSKA*, **Leszek SAWICKI****,
Ryszard SAWICKI***

TADEUSZ SAWICKI (1912–1939) – LOTNIK POLEGŁY NA ZIEMI SZADKOWSKIEJ. WSPOMNIENIE RODZINY

Streszczenie. Tadeusz Wiesław Sawicki – urodzony w Dolinie (woj. stanisławowskie) podporucznik obserwator lotnictwa Wojska Polskiego poległy na ziemi szadkowskiej w pierwszych dniach września 1939 r. T. Sawicki miał wielostronne zainteresowania. Brał czynny udział w rozgrywkach towarzyskich i zawodach szachowych w lwowskim klubie szachowym „Helm”. Zbierał i hodował ćmy i motyle. Interesował się sportem. W 1935 r. rozpoczął służbę wojskową. Ukończył Szkołę Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie i otrzymał patent oficerski. W pierwszych dniach II wojny światowej dokonuje lotów rozpoznawczych w II plutonie 33 Eskadry Obserwacyjnej w ramach współpracy z 25 Dywizją Piechoty. 5 września 1939 r. nie wraca z lotu rozpoznawczego odbywanego na samolocie RWD–14b „Czapla” z kapralem pilotem Brunonem Ślebiodą. Około godz. 1430 został zestrzelony w okolicy między Szadkiem a Zadzimiem. Lotnicy zginęli rozbijając się w lesie koło wsi Góry Prusinowskie (obecnie miejscowości położonej w gminie Szadek). Spisane wspomnienia o Tadeuszu zostawili Danuta, Leszek i Zbyszek (rodzeństwo).

Słowa kluczowe: Tadeusz Sawicki, Szadek, II wojna światowa, polskie lotnictwo wojskowe.

Tadeusz Wiesław Sawicki urodził się 25 października 1912 r. w Dolinie (woj. stanisławowskie) jako najstarszy syn Władysława i Zofii z domu Mentzel.

* Danuta Sawicka-Miszewska (1915–2005), mgr farmacji, absolwentka Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie (1939), całe życie związana z aptekarstwem. Autorka wspomnień w czasopiśmie „Brzask”. Mieszkała w Trzebnicy, gdzie jest pochowana.

** Leszek Sawicki (1924–2017), dr, geolog, kartograf, współzałożyciel i kierownik Oddziału Dolnośląskiego Państwowego Instytutu Geologicznego, współzałożyciel Towarzystwa Miłośników Lwowa we Wrocławiu. Autor kilkudziesięciu naukowych artykułów i map geologicznych w języku polskim, francuskim i czeskim. Mieszkał we Wrocławiu, gdzie zmarł 21 lutego 2017 r. (w czasie współtworzenia tego artykułu). Pochowany na wrocławskim cmentarzu Osobowice.

*** Ryszard Sawicki, mgr, absolwent bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Wrocławskim. Artysta malarz, pisarz, eseista i tłumacz. Swoje prace malarskie prezentował w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji. Nagrodzony złotym i srebrnym medalem za portrety (IPA, Washington D.C. 1986, 1987). Mieszka we Wrocławiu, e-mail: ersaw@interia.pl.

Ojciec Tadeusza, Władysław, przyszedł na świat w 1885 r. w miejscowości Gawareczyna (powiat złoczowski, obwód lwowski). Był synem leśniczego Józefa i Marii z Bobrowskich. Ukończył Politechnikę Lwowską i pracował jako inżynier geodeta. Od 1924 r. pełnił funkcję sekretarza Związku Obrońców Lwowa, a w 1934 r. został również sekretarzem Zjazdu Inżynierów Geodetów w Krakowie. Podczas obrony Lwowa, mimo braku przeszkolenia wojskowego, zgłosił się do lwowskiej Miejskiej Straży Obywatelskiej, która pełniła służbę na zapleczu frontu – w magazynach, na dworcach, ulicach i placach Lwowa. W 1935 r. przeszedł kurs szkoleniowy w ramach Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej w Lwowie, otrzymując świadectwo z numerem 143/35. Został odznaczony Krzyżem Obrony Lwowa z mieczami, Odznaką Pamiątkową Miejskiej Straży Obywatelskiej we Lwowie „Zasłużonemu 1918–1919”, Odznaką Pamiątkową „Milicja Obywatelska Lwów 1919” i Odznaką Honorową „Orłęta”. Zmarł w 1967 r. w Trzebnicy.

Matka Tadeusza, Zofia Mentzel, urodziła się w 1889 r. w Kozłowie (obwód tarnopolski). Związek małżeński z Władysławem Sawickim zawarła w 1909 r. w Dolinie. Zmarła w 1978 r. w Trzebnicy, gdzie jest pochowana razem z mężem. Oprócz syna Tadeusza Sawicy mieli jeszcze trójkę dzieci: córkę Danutę, która przyszła na świat w 1915 r. w Husiatynie¹, synów: Romana Zbigniewa, urodzonego rok później w tej samej miejscowości² oraz Leszka, urodzonego w 1924 r. w Kopyczyńcach.

Naukę w szkole średniej Tadeusz rozpoczął w Kopyczyńcach (woj. tarnopolskie), gdzie jego ojciec był geometrą powiatowym (podobnie jak w Dolinie – przed przeniesieniem na stałe do Lwowa), a ukończył w XI Państwowym Gimnazjum im. Śniadeckich o profilu matematyczno-przyrodniczym we Lwowie. Po maturze, którą zdał w 1930 r., podjął studia wyższe na Wydziale Rolniczo-Lasowym Politechniki Lwowskiej (immatrykulacja 28 stycznia 1931 r.). Studia kontynuował do roku 1935. Jego indeks zawiera zapisy z 46 zdanych egzaminów i kolokwium, z których otrzymywał zwykle noty dobre, bardzo dobre i celujące.

Miał wszechstronne zainteresowania. Począwszy od piątej klasy gimnazjalnej i przez cały okres studiów brał czynny udział w rozgrywkach towarzyskich i zawodach szachowych w lwowskim klubie szachowym „Hełm”, z reguły grał na pierwszych szachownicach. Często grał systemem pamięciowym – nawet w trakcie spacerów koleżeńskich lub np. w kolejce do kwestury. Zbierał oraz hodował ćmy i motyle. Interesował się sportem. Grał w tenisa, uprawiał narciarstwo i kajakarstwo. Odbywał długie wycieczki narciarskie w Beskidach Wschodnich, w Czarnohorze i w Tatrach. Miał Górską Odznakę Narciarską i szkolił narciarzy. Uczestniczył w spływach kajakowych po Dniestrze, Sanie i Wiśle.

W 1935 r. rozpoczął służbę wojskową. Przeszedł przeszkolenie dla podchorążych w 48 pułku piechoty w Stanisławowie. Podczas tego szkolenia zgłosił się na badania lekarskie dla kandydatów do służby w lotnictwie. Wyniki okazały się dobre, wobec tego został przyjęty na 3-letni kurs Podchorążych Zawodowych

¹ Danuta Sawicka 31 grudnia 1939 r. wyszła za mąż za mgr. farmacji Mieczysława Miszewskiego (1912–1973), poetę, plastyka, regionalistę i współzałożyciela Towarzystwa Miłośników Ziemi Trzebnickiej (1960).

² Zmarł 3 listopada 2013 r. we Wrocławiu.

Lotnictwa w Dęblinie w grupie personelu latającego, z dniem 3 stycznia 1936 r. W 1938 r. ukończył Szkołę Podchorążych Lotnictwa z 11 lokatą. Patent oficera otrzymał 1 października 1938 r. i został przyjęty do korpusu oficerów lotnictwa (grupa liniowa) z nominacją na stopień podporucznika.

W czasie służby wojskowej kontynuował naukę na Politechnice Lwowskiej. Co kilka miesięcy uzyskiwał urlop z Dęblina, by zdawać egzaminy i zbierać materiały konieczne do zaliczenia kolejnych etapów studiów. Temat pracy dyplomowej był związany z wykorzystaniem lotnictwa do walki ze szkodnikami i pasożytami lasów. Wraz z nominacją na podporucznika obserwatora został skierowany do 3 pułku lotniczego w Poznaniu – Ławicy. Po przeniesieniu do nowej jednostki Sawicki kontynuował naukę na Politechnice Lwowskiej. Ostatni wpis w indeksie brzmi: Udzielam bezpłatnego urlopu do dnia 31 VIII 1939.

W pierwszych dniach II wojny światowej Tadeusz wykonywał loty rozpoznawcze w II plutonie 33 Eskadry Obserwacyjnej w ramach współpracy z 25 Dywizją Piechoty. 5 września 1939 r. nie wrócił z lotu rozpoznawczego odbywanego na samolocie RWD-14b „Czapla” z kapralem pilotem Brunonem Ślebiodą³. Około godz. 14.30 został zestrzelony w okolicy między Szadkiem a Zadzimem przez pil. Ofw. Georga Fleischmanna z 3 Staffel, który pilotował dwusilnikowy samolot myśliwski Messerschmitt Bf 110. Polscy lotnicy zginęli, rozbijając się w lesie w pobliżu wsi Góry Prusinowskie (obecnie miejscowości położonej w gminie Szadek). Zostali pochowani na miejscu katastrofy, a niedługo później ich ciała na polecenie władz okupacyjnych ekshumowano i złożono w bezimiennej mogile na cmentarzu parafialnym w Zadzimiu.



Fot. 1. Tadeusz Sawicki (1912–1939) – podporucznik obserwator lotnictwa Wojska Polskiego, poległy bohaterską śmiercią lotnika na ziemi szadkowskiej (zdjęcie wykonane w Poznaniu, 1939 r.)

Źródło: ze zbiorów rodziny Sawickich

³ Na podstawie notatki sporządzonej przez młodszych braci Tadeusza Sawickiego – Romana Zbigniewa i Leszka, z 25 kwietnia 1988 r.

W jednym ze swoich ostatnich listów do rodziny we Lwowie Tadeusz Sawicki prosił kilkunastoletniego brata Leszka o przyjazd do Poznania:

Poznań 27.VIII.1939. Kochani Rodzice! Czekam na przyjazd Leszka, telegrafowałem, posłałem mu 40 złotych. Chodzi o to, żeby przyjechał tu i siedział w mieszkaniu. Jeśli sytuacja będzie taka, że rzeczywiście coś się zacznie, wtedy spakuje manatki i wyjedzie z Poznania. Uważam go za wystarczająco sprytnego i inteligentnego, żeby mógł sobie poradzić, a zresztą będzie to dla niego doskonała szkoła życia. Sytuacja jest taka, że dopóki będę w Poznaniu, będę mógł codziennie wieczór widzieć się z nim w mieście. Orientując się w sytuacji ogólnej, dam mu znać kiedy ma wyjechać. Telegrafowałem w piątek wieczór i spodziewałem się, że Leszek najpóźniej dziś w południe przyjedzie, jest godzina 15, a jego jeszcze nie ma. Strasznie przyjemnie jest wieczorem w mieście. Przyjeżdżamy elegancką limuzyną (Chevrolet), przebieramy się na cywila i łazimy po mieście. Czujemy się jak sztubacy na wakacjach. Idziemy do Arkadij (wiecie gdzie to jest) na lody i obserwujemy publiczność, jak zakochane parki siedzą w ciemnościach i żegnają się czule. Słyszymy czasem jak panny wzajemnie opowiadają sobie ilu to ta i ta pożegnała. Odstawiamy przedpoborowych, a ludzie patrzą na nas takim wzrokiem, jakby patrzyli na kogoś z kategorią „D”. Na ogół naród jest zupełnie spokojny i przeważa opinia, że nic z tego zamieszania nie będzie. Bilonu i żywności dość, ceny w górę nie poszły. Nikt nie ucieka, na dworcach pustki. Społeczeństwo jest mocne. Ja po całych dniach nic nie robię, śpię, czytam, albo gram w bridża. I jem... znowu zaczynam tyć. Kiedy się nareszcie ta wojna skończy? Szukam kogoś, kto by się założył ze mną o większą forszę, że w ciągu miesiąca wojny nie będzie, ale nie mogę znaleźć chętnego. Jest to najlepszy dowód na optymizm w narodzie. Jeden tylko Tomek wciąż kracze. Bardzo jestem ciekaw jak to wszystko wygląda u Was. Co robią Ukraińcy? Zbyszek napisał kartkę 23go z Bucuresti. Pisał, że wyjeżdżają na Żelazną Bramę, pewnie dziś już go jednak odwołali i popadł w zajączki. Poza tem nie mam żadnej wiadomości od nikogo. Jeżeli mi się uda, pošlę list pocztą latającą. Piszcie na Reja i przysyłajcie Leszka. Całuję wszystkich serdecznie, Tadzik.

Leszek Sawicki opisał swój wyjazd do Poznania i spotkanie z bratem wiele lat później. Ryszard Sawicki, bratanek Tadeusza i Leszka, włączył tę relację do książki Czapla. Listy pilota, która została opublikowana przez Wydawnictwo „Lena” w 2017 r. Poniżej fragment wcześniej spisanej relacji Leszka, jednego ze współautorów tego artykułu.

Smugi rzeczy: drzewa i przydrożne krzewy szybko przebiegają przez pole widzenia. Są i już ich nie ma. Przemieniają kształty – osobne – w rozmyte, podobne, wspólne. Wzrok chwytą sylwetki przedmiotów i niemal w tej samej chwili je porzuca. Oczy nie przekazują pamięci niczego dokładnie, pamięć pozostaje pusta. Nieważne, czy tamten pień drzewa pochylony był w prawo czy w lewo, czy gałęzie strzelały mocno w górę, czy opadały ku ziemi, jakby pozbawione żywotnych sił, a tylko ich końcówki sięgały wyżej.

Pociąg jechał od zachodniej granicy ku wschodniej. Zachodnia granica przestała być granicą, została unicestwiona. Wschodnia granica wciąż trwała, ale nie miała trwać już długo. Podróżni pociągu wiedzieli tylko o tym, co było za nimi, nie o tym, co czekało ich tam, dokąd zdążyli. Uciekali od wydarzeń pogranicza, ale nie zdawali sobie sprawy, że ucieczka nie może być w pełni udana. Pęd pociągu i pęd wydarzeń nakładały się na siebie. Widzieli za oknami pędzącego pociągu rozmyte pnie drzew, ale nie zdawali sobie jeszcze sprawy z tego, że wiele innych rzeczy oglądać będą przez kilka następnych lat podobnie rozmytymi, jakby to były bezkształtne smugi lub cienie rzeczy.

Leszek siedział na stopniach towarowego wagonu, który zajmowali podróżni ze swym dobytkiem. Wagony pasażerskie były przepelnione, było w nich duszno, ale w wagonie towarowym, choć pozbawionym ławek, nie brakowało świeżego powietrza. Dni były pogodne i ciepłe, a noce chłodne, zaczynała się jesień. W nocy drewniane drzwi wagonu zasuwano, wtedy Leszek się krył wśród przedmiotów ustawionych wzdłuż ścian, próbował zasnąć. Celem jego podróży było rodzinne miasto na południowym wschodzie kraju, pociąg jechał jednak na północny wschód. Po drodze miał się przesiąść do innego pociągu, ale nie wiedział, na której stacji uda mu się to zrobić. Nie wiedział kiedy dojedzie do celu.

Zapatrzony w przestrzeń ku południowi, nie starał się dostrzegać dalekich zagajników ani wiejskich zabudowań. Nie starał się zatrzymywać wzroku na tym, co jawiło się jako niemal trwale pod pogodnym niebem. Podobnie, jak nie starał się doganiać wzrokiem umykających pni drzew, które pociąg mijał w pędzie, tak i tamtym, niemal nieruchomym, oddalonym drzewom, nie pozwalał przyciągać swego wzroku. Pozwalał, aby oczy napelniały się migotaniem świateł i cieni, i aby pamięć rejestrowała tylko to migotanie. Tak było lepiej, myślał. Lepiej patrzeć na świat, nie dotykając niczego szczególnego w tym świecie. Nie dotykając nawet wzrokiem. Dopiero, gdy następowało gwałtowne zatrzymanie pociągu, a ludzie wyskakiwali przez otwarte lub otwierane z trzaskiem drzwi i biegli w pole, dopiero wtedy, biegnąc razem z nimi, starał się szybko znaleźć bruzdę dla siebie i upadłszy w nią, skryć twarz w wilgotnej ziemi. Wyskakiwał zwykle przed innymi, gdy pociąg był jeszcze w ruchu. Przeskakiwał rów i umykał jak najdalej od pociągu, który stawał się celem lotniczych bomb i serii z karabinów maszynowych nadlatujących maszyn.

Od chwili odjazdu z ostrzeliwanego dworca kolejowego w Poznaniu nie widział nic tak wyraźnie, jak owe miejsca odległe o kilkadziesiąt metrów od toru, ku którym biegł co tchu; miejsca niczym szczególnym nie wyróżnione, a jednak bez wahania wybierane jako miejsca bezpieczne. Leżąc w bruzdzie, mocno przyciskał twarz do ziemi, tym mocniej im głośniejszy był gwizd nadlatującej bomby, a potem wybuch. Nie podnosił się od razu, kiedy cichły. Trwał jeszcze chwilę bez ruchu, czekał aż minie lęk. Nie nazywał tego uczucia, ale wiedział czym jest. Nazwane mogło stać się wyraźniejsze, bardziej dotkliwe. Mijało, uchodziło szybko, niemal tak samo szybko, jak człowiek biegnący przez pole w poszukiwaniu schronienia. Miał piętnaście lat, gdy wojna zaskoczyła go podczas pobytu w obcym mieście. Pojechał do Poznania z rodzinnego Lwowa na zaproszenie

starszego brata, Tadeusza. Cieszył się na spotkanie z bratem, zwłaszcza, że nie widzieli się przez ostatnie kilka miesięcy, bo Tadeusz, jako wojskowy pilot obserwator, nie mógł opuszczać jednostki poznańskiej z uwagi na zagrożenie wojenne. Spotkał się z Tadeuszem, ale nie mogli spędzać ze sobą wiele czasu. Tadeusz był zbyt zajęty sprawami służbowymi na lotnisku w Ławicy. Leszek dostał od brata klucze do mieszkania w centrum miasta przy ulicy Reja numer 1/5 oraz pięćdziesiąt złotych (co wydawało mu się sporą fortuną), a także bilet upoważniający do korzystania z przystani klubu oficerów lotnictwa na pobliskim jeziorze Kierskim.

Nim znalazł się w Poznaniu pod koniec wakacji, Leszek był na półtoramiesięcznym wędrownym obozie harcerskim. Wędrował po Podolu na piechotę, wrócił piętnastego sierpnia opalony, pełen radości i energii. W książeczce harcerskiej miał wpisane osiemnaście sprawności. Podczas pieszych wędrówek nie pamiętał o nastrojach wojennych panujących w kraju. Dopiero po powrocie do domu zaczął przeglądać nagromadzone gazety. W wydaniu „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z dwudziestego piątego sierpnia przeczytał komunikat o pakcie przyjaźni zawartym między sowiecką Rosją i hitlerowskimi Niemcami. Obok artykułu opublikowano zdjęcia Stalina, Mołotowa i Ribbentropa, sygnatariuszy paktu. We Lwowie nie komentowano szeroko tego komunikatu. Groźniejsze wydawały się doniesienia o akcjach dywersyjnych organizowanych na zachodnim pograniczu przez niemieckie bojówki. W tym samym numerze IKC znalazł artykuł, w którym lewicujący młody poeta tłumaczył się ze swego wiersza nawołującego do tego, by lud „rzucił karabiny”, nie myślał o walce w obronie kraju. Wiersz teraz drażnił społeczeństwo przygotowujące się do obrony i nie przyjmowało wyjaśnień poety, które nim kierowały, gdy opublikował tamten wiersz.

Oprócz lektury gazet, Leszek słuchał z rodzicami i starszą siostrą komunikatów radiowych. Rodzice kupili niedawno za poradą Tadzika aparat radiowy „Telefunken”, który odbierał nie tylko polskie, ale i zagraniczne stacje radiowe. Rozgłoszenie w Gliwicach i Wrocławiu nadawały po polsku, ale z obcym akcentem audycje przepelnione agresywną niemiecką propagandą. Szczególnie zniechęcony był spiker znany pod swoim zdrobniałym imieniem Teofilek. Odczytywał fałszywe wiadomości o rzekomych dezercjach z polskiej armii, przeprowadzał nawet wywiady z ludźmi podającymi się za dezertów. We Lwowie żartowano, że należy drania Teofilka powiesić na radiowej antenie, o czym Tadzik wspominał w swoim liście.

Nie ze wszystkiego można jednak było żartować. Leszek już w 1936 roku, jako uczeń szkoły powszechnej, przeszedł kurs organizowany przez Ligę Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. Pamiętał dobrze instrukcje zakładania maski przeciwgazowej. Pani Pasternakówna, instruktor, wystrzeliła podczas kursu pocisk z gazem łzawiącym, a harcerze siedzący w ławkach izby harcerskiej nakładali szybko maski i wkręcali pochłaniacze. Mógł się pochwalić opaską na ramię w kolorach żółtym i zielonym, którą należało nosić, jeśli zaistniałaby potrzeba organizowania dyżurów. Dostał też funkcję gońca w drużynie. Minęło sporo lat od pierwszej wojny światowej, ale w Europie dobrze pamiętano takie nazwy gazów, jak iperyt i fosgen.

W domu przy ul. Łyczakowskiej postanowiono zakleić okna paskami papieru, by uchronić szyby przed podmuchem powietrza podczas wybuchu bomb. Rodzice polecili dzieciom, by cięli papier na paski i naklejali je – skrzyżowane – na szyby. Leszek pamiętał o tych paskach na oknach w domu rodziców, gdy leżał w polu przyciskając twarz do ziemi i słuchając wybuchów bomb. Obraz okien oklejonych papierem krzyżował się z obrazami ulic Poznania, widokami jeziora, po którym pływał kajakiem.

Kiedy zaklejał okna w lwowskim domu rodzinnym, czynność ta wydawała mu się absurdalna, niepotrzebna, a ponadto nudna. List Tadzika zawierał zaproszenie do Poznania, a więc i obietnicę dalszych wakacyjnych przygód. Ucieszył się, że wakacje poza domem nieco się przedłużą, miał okazję zapomnieć o ponurym nastroju. Tadzik był starszy od Leszka o dwanaście lat. Na wiosnę przekonywał jeszcze rodzinę, że do wojny nie dojdzie, powtarzał znane z prasy argumenty, że Niemcy boją się międzynarodowej opinii publicznej, nie będą ryzykować wojny w sytuacji, gdy Polska podpisała sojusze z Anglią i Francją i w razie zagrożenia może liczyć na pomoc sojuszników. W lecie już tak nie pisał. Poprosił Leszka, by przyjechał do Poznania i zabrał jego rzeczy, zawiózł je do Lwowa. Przystał Leszkowi czterdzieści złotych na tę eskapadę, co młodszemu bratu wydawało się ogromną sumą, gwarantującą dobrą zabawę.

Ubrany w gimnazjalny mundur z naszytą na rękawie obowiązkową tarczą szkolną na ramieniu, 27 sierpnia 1939 r. Leszek wyszedł z domu z małą tekturową walizką. Na dłoniach miał piękne rękawiczki pekari, które dostał na imieniny i z których był bardzo dumny. Wsiadł do pociągu w stolicy Podola i po długiej, ośmiuset kilometrowej podróży wysiadł na dworcu w stolicy Wielkopolski. Przejeżdżając przez mosty pociąg zwalniał, wtedy widział żołnierzy, a także Strzelców z maciejówkami na głowach, którzy zajmowali posterunki na przyczółkach mostów. W Tarnowie nie dostrzegł dworca zrujnowanego przez bombę, którą podłożył dywersant. Przez Górny Śląsk jechał nocą. Za szybą wagonu widział światła huty żelaza położonej blisko torów. Niedaleko była też granica z III Rzeszą, ale po wschodniej stronie istniejącej wciąż granicy nic szczególnego się nie działo. Rano przybył do Poznania.

Po wyjściu z dworca skierował się na zachód, w stronę ulicy Reja. Bez trudu odnalazł dom oznaczony numerem 1, gdzie Tadzik z kolegą Józefem Tomaszewskim wynajmowali mieszkanie. Ulica wydała mu się nieco ponura, nie tak jasna jak ulica Łyczakowska we Lwowie, przy której stała willa wynajmowana przez rodziców. Okna w mieszkaniu należącym do pani Wicherskiej nie wychodziły na ogród, tak jak okna willi. Z pewnym zdziwieniem zauważył, że mieszkańcy Poznania także oklejali okna paskami papieru. Ale nie poddał się bynajmniej ponuremu nastrojowi ulicy i mieszkania z zaklejonymi oknami. Nie po to przecież przejechał przez pół kraju, by znów myśleć o czymkolwiek ponurym. Na stole w pokoju brata znalazł kartkę z instrukcjami. Rozgościł się, umył i zjadł posiłek podany przez gospodynię. Tadzik nie mógł go przywitać, bo od kilku dni przemieszkował przy swojej jednostce na lotnisku, nie wracał do miasta. Dopie-

ro po południu przyjechał z przyjacielem Tomkiem, kiedy udało im się dostać przepustkę z Ławicy, ale po serdecznym przywitaniu i potwierdzeniu instrukcji zapisanych na kartce, musieli się rozstać.

Przez następne cztery dni, ostatnie dni sierpnia 1939 roku, Leszek chodził po Poznaniu, wyjeżdżał za miasto. Obserwował coraz więcej oznak zagrożenia wojną. Ludzie dokonywali większych niż zwykle zakupów. Pod sklepami stały długie kolejki, wykupywano mąkę, cukier, słoninę. Krążyły wieści o tym, że pieniądze papierowe mogą stracić wartość. Gromadzono bilon, zwłaszcza srebrne monety. Podobno jakiś niemiecki sprzedawca ukrył zapasy żywności, więc tłum przeprowadził szturm na jego sklep. Przechodząc koło tego sklepu, widział osmolone drzwi i zdemolowane wnętrza. Nastroje antyniemieckie objawiały się rozmaicie. Gazeciarze sprzedawali papierowe składanki z karykaturami Hitlera. Przejżdżający ciężarówkami robotnicy wytwórni baterii „Centra” śpiewali satyryczne piosenki, w których niewybrednymi słowami urągali Hitlerowi.

Mimo rosnącego z dnia na dzień zagrożenia, Leszek nie tracił ducha. Nastrój poprawiło mu zwłaszcza kolejne spotkanie z bratem i jego przyjacielem. Obydwaj lotnicy przyjechali z lotniska ubrani w mundury, z kordzikami przy boku. Dołączyły do nich dwie znajome panie, wyszli w piątkę do miasta. Lotnicy prezentowali się bardzo elegancko. Leszek cieszył się, że też ma mundur, choć był to tylko mundur szkolny. Kiedy weszli do kawiarni „Arkadia” przy Placu Wolności, orkiestra przerwała graną właśnie melodię taneczną i zagrała Pierwszą Brygadę, a wszyscy goście siedzący przy stolikach wstali z miejsc i przywitani ich oklaskami. To była szczególna chwila. Leszek nie przypuszczał, że widzi się z bratem po raz ostatni.



Fot. 2. Tadeusz Sawicki (trzeci od lewej) z grupą lotników Wojska Polskiego (Dęblin, ok. 1938 r.)

Źródło: ze zbiorów rodziny Sawickich

Przed odjazdem na lotnisko Tadzik dał Leszkowi jeszcze pięćdziesiąt złotych, na wszelki wypadek, jak tłumaczył. Poinformował go, co ma robić, gdyby doszło do wybuchu wojny. Prosił, by brat zabrał do domu walizkę, w której zapakowane już były rzeczy osobiste, książki i notatki akademickie. Powiedział przed pożegnaniem: *Siedź w Poznaniu póki można, baw się!* Następnego dnia Tadzik zadzwonił z lotniska w Ławicy do pani Wicherskiej, rozmawiał z Leszkiem przez telefon. Było to 30 sierpnia 1939 r. Jeszcze nie nakazywał wyjazdu. Ale dzień później telefon milczał. Leszek poszedł jeszcze do ogrodu zoologicznego, pływał kajakiem po jeziorze. Gdy wrócił do miasta, na ścianach domów i płotach wisiały porozklejane plakaty mobilizacyjne. Zastanowił się, czy ma wyjeżdżać, lecz decyzję odłożył do piątku, bo i tak mógł zdążyć na zajęcia szkolne, które ministerstwo poleciło rozpocząć 4 września. Była wciąż piękna pogoda.

1 września pani Wicherska zbudziła go wcześniej rano wołaniem: *Poznań już zbombardowali. Była bardzo wzburzona. Czy będą gazy?* – pytała raczej siebie niż gościa. Leszek zapisał w swoich wspomnieniach, że nie słyszał wybuchów, pewnie przespał też wycie syren alarmowych. Szybko zorientował się, co robią mieszkańcy budynku. Wszyscy przygotowywali ochronne tampony do założenia na usta i nos w razie ataku gazowego. On też miał taki tampon, przywiózł go ze Lwowa. Teraz wyjął ze swojej małej walizki, by mieć pod ręką. W salonie gospodyni prowadziła nerwową rozmowę z rodziną. Zastanawiali się, czy zostać w mieście, czy jechać na wieś. W kamienicy funkcjonowały dyżury obywatelskie, mieszkańcy zmieniali się kolejno przy oknach w dachu. Wypatrywali samolotów Luftwaffe. Słuchano radia, przeglądano gorączkowo gazety. Stos gazet leżał na stole u pani Wicherskiej.

Leszek nie zaglądnął do gazet, nie słuchał dłużej rozmowy gospodyni. Wybiegł na miasto. Ludzie podawali sobie z ust do ust wiadomości o tym, co, kiedy i gdzie zostało zbombardowane. Krążyły plotki o zrzuconiu bomb gazowych. Na ulicach, którymi szybko przechodził, widział tylko potłuczone szyby, niewielkie uszkodzenia budynków i połamane gałęzie. Bomba upadła na ogród zoologiczny, ale zniszczyła tylko ogrodzenie i drzewa. Po tej wędrówce wrócił na ulicę Reja. Pani Wicherska nie zrobiła zapasów chleba, poczęstowała Leszka twardymi herbatnikami.

Po tym skromnym posiłku postanowił dowiedzieć się, jakie pociągi wyjeżdżają do Lwowa. Z ulicy Reja do dworca nie było daleko. Za chwilę miał być z powrotem, doczekać do odjazdu pociągu, zabrać swoją walizkę i walizę Tadzika. Planował, że wyjedzie z Poznania inną trasą niż ta, którą przyjechał. Przecież tamtędy tory biegną bardzo blisko granicy, to zbyt niebezpieczne. Miał zamiar jechać w kierunku Warszawy, po drodze lub w stolicy przesiąść się na pociąg jadący w stronę Lwowa.

Kiedy szukał informacji na dworcu poznańskim, rozległ się alarm lotniczy. Wszyscy zbiegli do schronów, które mieściły się w tunelach między peronami. Zapadło milczenie, wsłuchiwano się w dalsze i bliższe wybuchy. Odgłosom wybuchów wtórowały ciche modlitwy.

Samoloty i tym razem nie zbombardowały dworca. Może odstraszyli ich polscy myśliwcy – pomyślał. Syreny oznajmiły koniec nalotu, wyszedł więc do holu dworca. Wciąż nie znalazł rozkładu jazdy, nie mógł zdobyć informacji wśród panującego rozgardiaszu. I znowu rozległo się wycie syren. Nim odwołano drugi nalot, minęła godzina. Jednak i ten nalot nie był ostatnim, ani najgroźniejszym. Najgroźniejszy był nalot trzeci. To wtedy zaczął się modlić razem z innymi. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że znajduje się w najbardziej zagrożonym obiekcie miasta. Strach minął. Kiedy wyszedł na peron, zapadał zmrok. Obok budynku dworcowego paliły się magazyny firmy transportowej Hartwiga. Blask płomieni oświetlał na czerwono jasne mury dworca kolejowego.

Peron, przy którym się znalazł po wyjściu ze schronu nie był uszkodzony, jednak bomba rozbila wagon towarowy w składzie, który stał na peronie. Pociąg wypełniony był ludźmi ewakuowanymi z pogranicza i ich dobytkiem. Wszystko, co było zgromadzone w wagonie, pościel, pierzyny, odzież, zostało rozrzucone po peronie. Strzępy płótna i pierze wisiały nawet na gałęziach okolicznych drzew. Leszek rozglądał się dookoła, chodził raz w jedną, raz w drugą stronę. Nie wiedział dokąd iść. Pod butami chrzęściło szkło, potykał się o kawałki cegieł i tynku.

Wśród zgietku usłyszał nagle podawany przez megafony komunikat, że z jednego z peronów odjeżdża pociąg ewakuacyjny w kierunku Warszawy. Podjął błyskawiczną decyzję, pobiegł na właściwy peron, wskoczył w otwarte drzwi wagonu towarowego. Po kilkunastu minutach jechał już na północny wschód. Za sobą zostawiał chaos pierwszego dnia wojny. W pokoju przy Reja została jego walizka i waliza Tadzika. Stracił też jesienny płaszcz i piękne rękawiczki, z których był tak dumny. Miał na sobie tylko szkolny mundur z niebieską tarczą na rękawie. Na tarczy naszyty był numer 569. Z tym numerem, w piętnastym roku życia, o godzinie siódmej wieczorem, rozpoczynał swoją wielką, o wiele większą niż przypuszczał przed paroma jeszcze dniami, przygodę wakacyjną. Dnia pierwszego września roku pamiętnego – podpowiada piosenka.

Podróż trwała przez następnych siedem dni. W wagonie, do którego Leszek zdążył wskoczyć, jechała rodzina kolejarza z Międzychodu, stacji granicznej na linii kolejowej Poznań – Berlin. Kolejarze dostali polecenie ewakuacji ze względu na to, że mogli stać się pierwszymi ofiarami okupanta. W wagonie wieźli całe wyposażenie domu, które zdążyli zabrać. Wśród mebli leżały materace, kołdry, pierzyny. Inne wagony towarowe załadowane były podobnie. Kolejarz i jego żona byli w średnim wieku. Mieli dwoje dzieci. Syn był starszy, a córka w wieku Leszka.

Na początku podróży Leszek siedział osobno na stopniach wagonu smutny i zamyślony. Wpatrywał się w przestrzeń. Z upływem czasu zaczął rozmawiać z przygodnymi znajomymi. Od nich też dostał pierwszy posiłek. Nie jadł cały dzień, był głodny, ale głód zaczął mu dokuczać dopiero z nadejściem zmroku. Następnego dnia syn kolejarza wypatrzył tuż za lokomotywą wagon wiozący, oprócz zwykłych pocztowych przesyłek, także wielką pakę sera z niemieckiej spółdzielni mleczarskiej na Pomorzu. Z pomocą kilku innych kolejarzy przecięli scyzorykiem deski skrzyni i dobrali się do olbrzymiego, metrowej średnicy krę-

gu golubskiego sera. Przez cały dzień posilali się żółtym serem, bo na stacjach nie można było niczego kupić, wszędzie panował zamęt. Dopiero trzeciego dnia podróźni mogli korzystać z punktów rozdawnictwa żywności zorganizowanych na peronach przez Polski Czerwony Krzyż. W czasie krótkich postojów pasażerowie śpieszyli do rozstawionych stołów z czystymi, białymi obrusami, na których stały tace z kanapkami, dzbanki z kawą zbożową, a czasem i kakao, kotły z zupą i stosy blaszanych misek.

Pociąg jechał wolno, bywał przetrzymywany na niektórych stacjach. Leszek stał się członkiem kolejarzkiej rodziny. Sypiał w kącie wagonu pod jedną z ich kolder, jadał z nimi posiłki. Razem wypatrywali nieprzyjacielskich samolotów i razem uciekali w pole, gdy się zbliżały. Pociąg nie miał ochrony przeciwlotniczej i mógł stać się łatwym łupem dla przelatujących eskadr z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Pierwsze bombardowanie zaskoczyło i pasażerów i obsługę pociągu. Maszynista nie zahamował, gwizd bomb mieszał się z monotonnym stukotem kół pociągu. Skuleni wśród swych rzeczy pasażerowie dopiero po długiej chwili mogli odetchnąć z ulgą. Tym razem nikt jednak nie zginął, nalot nie wyrządził wielu szkód. Później obserwatorzy ostrzegali maszynistę w porę, zatrzymywał więc pociąg i dawał gwizdem lokomotywy sygnały alarmowe. Wtedy kto mógł wyskakiwał z wagonów i szukał schronienia w zagłębieniach ziemi. Bomby zrzucone były z dużej wysokości, a więc niecelnie. Znacznie bardziej niebezpieczne były pojawiające się w pojedynkę myśliwskie samoloty, które z małego pułapu ostrzeliwały pociąg z broni pokładowej.

W czasie jazdy Leszek przesiadywał najczęściej na stopniach wagonu. Nie opierał nóg na stopniach, pozwalał, by zwisały bezwładnie poza stopniami. Ten bezwład nóg przenikał całe ciało, wdzierał się w zakamarki umysłu, paraliżował. Ale błyskawicznie mijał, gdy odzywał się alarm. Bezwład i odpoczynek to jedno. Sprężenie do skoku, skok, bieg, to co innego, to niczym niepohamowane działanie. W każdej chwili gotów był do sprężenia mięśni, poderwania się, do szybkich ruchów. Był przecież harcerzem, był nastawiony na to, że nie można się poddawać trudnościom. Pokonywał strach, jak pokonywał przestrzeń dzielącą tory od pola, od lasu. Przeskakiwał rów, biegł. Dopadał zagłębienia w ziemi, krył się jak tylko potrafił. A potem znowu kiwał nogami nad stopniem wagonu, patrzył przed siebie.

Pociąg posuwał się wolno, ale wytrwale ku stolicy. Ewakuowani z pogranicza ludzie zdążyli w tym samym kierunku, co Leszek. Wiedzieli, że w pobliżu Lwowa czekają na nich kwatery zastępcze. Tam znaleźć mieli domy z daleka od porzucanych w pośpiechu własnych domów. Leszek jechał do swoich, którzy na niego czekali. Zapewne niepokoił się, nie wiedzieli przecież nic o jego podróży przez objętą wojną Polskę. W Warszawie Leszek dowiedział się, że jego pociąg zostanie skierowany przez Siedlce i Łuków, bo linia bezpośrednia na Rozwadów była silnie bombardowana. Na stacji za Warszawą, gdzie zostali zatrzymani na wyjątkowo długi postój, dowiedział się, że obok stoi inny pociąg, który ma odjechać szybciej w kierunku Lwowa. Nie zastanawiał się długo. Pożegnał się z rodziną kolejarza i wskoczył do innego pociągu, też pełnego uciekinierów z zachodniego pogranicza.

Na wschód od Wisły było dość spokojnie. Na malej stacji w Lubartowie wysocki, brodaty Żyd – piekarz rozdawał ludziom bochenki chleba. Postój w Zamościu był szczególnie miły. Ordynacja Zamoyskich zgotowała uciekinierom serdeczne powitanie. Na stacji czekało na nich wysmienite jedzenie, a na deser częstowano kiściami słodkich, soczystych winogron rozłożonymi na wielu tacach. Kiedy zbliżali się następnego dnia do Rawy Ruskiej, zostali zatrzymani daleko przed stacją. Miasto przeżywało właśnie nalot bombowy. Z daleka było widać dymy płonących zabudowań. Na płonącą wciąż stację wjechali dopiero o zmroku, pół godziny po odwołaniu alarmu. Peron był wypełniony gruzem i potłuczonym szkłem. Były ślady krwi, sanitariusze biegali z noszami.

Z tego pociągu Leszek raz jeszcze przesiadł się, tym razem do osobowego pociągu jadącego wprost do Lwowa. Wysiadł na stacji Kleparów. W domu przy ul. Łyczakowskiej znalazł się około południa. Matka witała go w progu ze łzami radości. Był jednym z trzech synów, którzy po wybuchu wojny pozostawali poza domem. Rodzice niepokoił się bardzo o ich losy, obawiali się najgorszego. O Tadziku i Zbyszku nie było żadnych wieści. Ostatnią rozmową rodziny z Tadzikiem była rozmowa Leszka przez telefon. Zbyszek, ojciec Ryszarda, został zmobilizowany do piechoty na drugi dzień po powrocie ze studenckiej wycieczki do Rumunii. Ironią losu powędrował po rozbiciu armii niemal tą samą drogą na południe. Znalazł się we Francji, a rodzice witali go dopiero po latach, już nie w lwowskich, a w śląskich progach. Najmłodszy, Leszek, był przez całą okupację w lwowskim oddziale Armii Krajowej. Mieszkał z rodzicami. Po powrocie Leszka do Lwowa rodzina zebrała najpiękniejsze kwiaty z ogrodu i zaniósł je do kościoła Matki Bożej Ostrobramskiej na górnym Łyczakowie. Modlili się razem: Na Twym świętym progu, za wrócone życie dziękujemy Bogu. Podobnie, choć nie w tej samej świątyni, mogli się modlić po powrocie Zbyszka z tulaczki. Nie mogli jednak powtórzyć słów modlitwy po raz trzeci.

Tu kończy się relacja Leszka wykorzystana przez Ryszarda.

W tych samych dniach września, gdy Leszek podróżował z Poznania do Lwowa, Tadzik, jako obserwator II plutonu 33 Eskadry Obserwacyjnej (godło: pasikonik z lornetką na tle białego rombu), wykonywał loty rozpoznawcze. Mobilizację sierpniową eskadra przeprowadziła na macierzystym lotnisku Ławica. Uzyskała stan gotowości bojowej 26 sierpnia 1939 r. Rzut kołowy dojechał do jednostki w nocy z 28 na 29 sierpnia. Dowódca, kapitan obserwator Stanisław Zaleski, miał do dyspozycji siedem samolotów „Czapla” (RWD-14). Drugi pluton został przesunięty na lotnisko Dembe koło Kalisza. W dniach 2 i 3 września załogi obu plutonów wykonały po kilka lotów rozpoznawczych. Załogi drugiego plutonu przeniosły się przed wieczorem w rejon miasta Turek. Wieczorem 4 września, nastąpiła kolejna zmiana miejsca postoju – jednostka została przerzucona w rejon Inowrocławia. Tego dnia podporucznicy Sawicki, Tomaszewski i Wilczyński wykonali trzy zadania z rozkazu dowódcy 25 DP. Następnego dnia, 5 września, wykonali trzy kolejne zadania, m.in. w rejonie Kalisza i Ostrowa Wielkopolskiego. Z rozpoznania w rejonie Uniejów – Poddębice – Szadek nie wrócili podporucznik

Sawicki i kapral pilot Ślebioda. W sumie, od 1 do 14 września 1939 r. załogi 33 Eskadry wykonały 44 zadania bojowe, w tym cztery loty łącznościowe. Straty eskadry to czterech poległych, w tym Tadeusz Sawicki, oraz ośmiu zaginionych, w tym Józef Tomaszewski. Z siedmiu samolotów RWD-14 „Czapla” nie został ani jeden, żaden więc nie mógł być ewakuowany do Rumunii.

Tę relację zaczerpniętą z książki *Polskie eskadry w wojnie obronnej 1939*, opublikowanej w serii „Skrzydlatej Polski” w roku 1982 można uzupełnić na podstawie rodzinnych wspomnień. Tomek (Józef Tomaszewski) zjawił się we Lwowie już po zajęciu miasta przez Sowiec. Tomaszewski lądował w rejonie Chełma razem z kolegą, podporucznikiem Rojeckim. Szukał możliwości przedostania się na Węgry. Do domu rodzinnego Tadzika trafił w ubraniu cywilnym, podpierał się laską. Nie miał żadnych wiadomości o Tadziku. Parę dni ukrywał się z kolegą u Władysława i Zofii Sawickich w willi przy ul. Łyczakowskiej. Po jego odejściu rodzina Sawickich już nigdy nie miała o nim żadnych wiadomości.

Siostra Tadeusza, Danuta Sawicka-Miszewska, w artykule zatytułowanym *Na Łyczakowskiej 143*, zamieszczonym na łamach czasopisma „Brzask” (2000, nr 7–8), serdecznie wspomina swojego brata – lotnika: *Dużo wtedy czytaliśmy, zwłaszcza Mamusia i Tadzik. O wszystkich nowościach wydawniczych dowiadywałam się od Tadzika. Pamiętam, że na imieniny lub na święta dostawałam od niego bardzo ciekawą książkę francuskiego uczonego Francisa Carrel pod tytułem „Człowiek istota nieznana”. Autor twierdził, że wiele przejawów życia nie da się wytłumaczyć na drodze czysto naukowej.*

Tadzik bardzo mnie kochał, był bardzo dla mnie dobry. W czasie studiów pomagał ojcu w pracach zleconych, a za zarobione pieniądze kupił mi nie tylko książkę, ale też narty i buty narciarskie, raketę tenisową i pileczki. Oplacił trenera, abym się uczyła grać w tenisa. Naukę w Lotniczej Szkole Oficerskiej kończył jako prymus. Z okazji zakończenia nauki (15 października 1938 roku) urządzono w Dęblinie bal. Dostałam telegram: „Przyjeżdżaj koniecznie!”. Oplacił mnie i Rodzicom podróż. Oczywiście pojechałam i szalałam do białego rana.

Rodzice polecieli samolotem. Nigdy przedtem nie lecieli, więc byliśmy wszyscy bardzo tym przejęci. Odprawiliśmy ich (ja i Zbyszek) do autobusu, którym pojechali na lotnisko, i pobiegliśmy do katedry. Modliłam się cały czas, kiedy oni lecieli, żeby nic złego się nie stało.

Szkoda, że Tadzik tak młodo zginął w pierwszych dniach wojny. Dowiedzieliśmy się o tym pięćdziesiąt lat po wojnie, a do tego czasu ciągle mieliśmy nadzieję, że żyje. Przeglądając stare notatki, znalazłam hymn lotników napisany przez Tadzika przed samą wojną. Był śpiewany na melodię popularnej wówczas operetki „Król włóczędów” Rudolfa Frimla. Oto on:

*Na start! wołają nas już,
Więc pędźmy co sił,
Melodia silników gra,
Melodia silników gra.*

*Na start! bo młodość to my,
 Spełnione są sny,
 By lecieć, zdobywać świat,
 Co drzemał tysiące lat.
 Pełny gaz! Niech smutki
 Z pędem giną nam
 Dla nas życie tylko tam!
 Klęby chmur pod nami,
 Gdzieś między gwiazdami,
 Pędzimy w błękitną dal.
 Każdy z nas w swej dłoni
 Ma tysiące koni,
 Srebrnych skrzydeł błyszczą stal.*

*Refren:
 Hej, hej, wichrom w twarz się śmieję,
 Hen, wzwyż do lotu skrzydeł chciej!
 Mówią nasze znaki,
 Że w podniebne szlaki
 Młodości wnosimy wiew!*

[Wpłynęło: marzec; poprawiono: czerwiec 2017 r.]

TADEUSZ SAWICKI (1912–1939) – AN AVIATOR KILLED IN THE REGION OF SZADEK. RECOLLECTIONS OF THE FAMILY

Summary

Tadeusz Wiesław Sawicki – born in Dolno (Stanisławów province), officer of the Polish Air Force, was killed in the area of Szadek in the first days of December 1939. Sawicki was a man of many interests. He participated in chess championships in the chess club “Hełm” in Lviv, and played in many other games and sports. He also collected and raised butterflies and moths. In 1935 Sawicki began military service. He completed the School for Air Force Officer Cadets in Dęblin. During the first days of World War II he did reconnoitring flights in II platoon of the 33 Aerial Squadron. On 5th September, during a flight with pilot Brunon Ślebioda, their plane RWD–14b “Czapla” was shot down and crashed between Szadek and Zadzim, in the forest near the village of Góry Prusinowskie. The recollections about Tadeusz were written by Danuta, Leszek and Zbyszek (sister and brothers).

Keywords: Tadeusz Sawicki, Szadek, II World War, Polish air forces.